

## **Urlop - NEPAL**

**13.11.2003 - 5.12.2003**

**Uczestnicy: Gabriela, Ala, Klaudiusz, Janusz.**

**13.11 – czwartek**

**Warszawa - Katmandu**

Wstajemy o 4.50 rano. Zaplanowany odlot 7.50. Pogodę mamy piękna, świeci słońce. Na lotnisku w Warszawie spotykamy studentów – kajakowców lecących na spływ rzeką pod Mount Everestem. Startujemy zgodnie z planem. W Wiedniu mamy przesiadkę na samolot do Katmandu. Półtorej godziny postoję szybko mija. Przesiadamy się austriacki Airbus 400. Jest to wilka maszyna, zabiera 260 osób. Na pokładzie komplet pasażerów. Startujemy punktualnie o godzinie 11.20. Lot przebiega idealnie. Około 19.00 naszego czasu lądujemy w Katmandu. Tu jest już godzina 23.40. Różnica czasu wynosi 4 godziny 40 minut. Na lotnisku stoimy w długiej kolejce po wizę. Cena wizy 30 dolarów. Na lotnisku okazuje się, że potrzebne są zdjęcia do wizy. Polaroidem robią nam je i wychodzimy na nich koszmarne. Janusz i Klaudiusz trafiają bezbłędnie, bo byli w nim przed 3 laty. Budzimy obsługę i wybieramy pokoje. Tak jak to bywa w tej klasie hoteli, pokoje są zaniedbane lecz na szczęście mamy do dyspozycji ładny taras z ogrodowymi meblami.

**14.11 – piątek**

Janusz robi mi już pobudkę o 4 rano czasu warszawskiego. Dostajemy śniadanie. Po śniadaniu wyruszamy na miasto. Hotelik nasz jest dobrze zlokalizowany, koło Pałacu Królewskiego i wszędzie jest blisko. Przed południem zwiedzamy bardzo piękne hotele – (100\$ doba) o nazwie „Yak and Yeti”, pijemy dobrą kawę z mlekiem w okazałym ogrodzie nad basenem. Ja kładę się na hamak i zasypiam, ale zaczyna boleć mnie ząb i się budzę. Za

pół godziny ból mija. Zwiedzamy też inne największe hotele - „Annapurna” i „Szangrilla”. Wracamy odpocząć, stale według polskiego czasu jest nadal wczesnie. Na godzinę 19:00 mamy zarezerwowany stolik w restauracji przy hotelu „Annapurna”. Janusz w swojej książce ”Muzyka Indii” opisał zespół, który tam gra. Kolacja jest bardzo dobra, obsługa miła, gra inny niż z książki zespół (4 osoby w tym dziewczyna, która śpiewa gazale). Ok. godziny 20:00 przyszedł zaproszony przez Janusza muzyk, którego szkołę opisał Janusz w swojej książce. Młody elegancki Nepalczyk przypominał amanta filmowego.

### **15.11 – sobota**

O godzinie 8:00 śniadanie (3:30 czasu polskiego) takie samo jak wczoraj. Potem zamawiamy taksówkę i jedziemy do Godavari – królewskiego ogrodu botanicznego. Droga wąska i dziwna, kierowca jeździ na szczęście ostrożnie i nie za szybko. 15 km jedziemy jakies 40 minut. Kierowca na nas czeka, kiedy zwiedzimy park i wiezie nas do Patanu. Patan - bardzo piękne, stare miasto z pagodami, świątyniami hinduskimi i pałacem królewskim z XVI i XVII wieku.

Dopadają nas stale sprzedawcy, którzy chcą nam coś sprzedać. Janusz kupuje tybetańską księgę, nie wiem po co? Właściwie to wiem, budzi się w nim myśliwy i musi coś upolować. Pijemy kawę na dachu domu przy starym rynku, mamy piękny widok na to historyczne miasto. Zwiedzamy Stary Pałac Królewski, który jest obecnie muzeum z bardzo ładną ekspozycją rzeźb i innych przedmiotów. Potem w uroczej restauracji na terenie pałacu jemy obiad. Jedzenie jest bardzo dobre. Wieczorem się pakujemy, bo jutro wyprawa na 4-dniową wycieczkę w góry.

### **16.11 – niedziela**

Katmandu – Chisapani – 2194 m.

Wyruszmy o 8:10, przyjedzie po nas samochód + przewodnik + tragarz. Przewodnik bardzo miły człowiek, ma 28 lat, skończył uniwersytet, dobrze mówi

po angielsku. Ok. godziny jedziemy samochodem i wyruszamy w trasę. Idziemy 6,5 godziny. Czasami jest dość ciężko, miewamy kryzysy (Janusz). W połowie drogi zatrzymujemy się na posiłek w ładnym miejscu z pięknym widokiem. Ok. 16:00 przybywamy do schroniska Chisypaul wysokość 2194. Jest bardzo zimno. Janusz zamawia więc 4 litry piwa i prosi o duży garnek aby podgrzać z przyprawami. Gospodarze są zdziwieni, że piwo można pić na gorąco. Był to świetny pomysł – gorące piwo pite przy świecach smakuje wyjątkowo, rozgrzewa nas i lekko uderza do głowy. Właściciele schroniska to młodzi ludzie z dwójką dzieci 14 miesięcy i 3 lata. Dzieci same się pilnują ze smarkami do pasa, ale są bardzo sympatyczne. Nie ma światła, więc o 20:00 już śpimy. Noc mija nam dobrze, schowani w śpiwór do tego grubo ubrani w skarpetach. Mnie ratuje kamizelka puchowa. Dziś pokonaliśmy 1000 m wysokości.

### **17.11 – poniedziałek**

O godzinie 9:30 wyruszamy po śniadaniu z Chisapani do Nagarkotu.

Góry schowane w chmurach, ale po ok. 1 godzinie marszu mgła opadła. Gdy świeci słońce jest bardzo ciepło. Dziś trasa jest bardzo przyjemna, bo prawie całą drogę schodzimy. Po drodze oczy cieszą przepiękne widoki, uprawy na zboczach, prawie cały czas towarzyszy nam śpiew ptaków i cykad. O 15:00 docieramy do wioski, w której mamy nocować. Po drodze nasz przewodnik Radzi mówi, że dziś będziemy mieć normalny pokój. Ja się cieszę, że będzie lepiej jak wczoraj. Janusz studził mój entuzjazm, bo już nie jedno widział i z oceną należy poczekać, aż się zobaczy. Niestety ma racje, pokoje to nory bez szyb w oknach. Nie wiem jak przeżyjemy tę noc - jest zimno. O tyle lepiej jak wczoraj, że jest światło.

### **18.11 – wtorek**

Z zapadłej górskiej wsi do Nagarkotu.

Dzięki ci Boże, że już świta i kończy się noc. Obudziło mnie pianie koguta i zaraz potem już zaczęła się krzątanina wokoło obejść domów. Jedyne co było naprawdę piękne w tej miejscowości, to przepięknie ugwieżdżone niebo.

Tysiące gwiazd świecących bardzo jasno i charakterystyczne 3 gwiazdy – jedna nad drugą. Takie samo niebo widziałam na Sri Lance - zupełnie inne jak w Polsce.

Wieś: CHUKIBHEINJAN – NAGARKOT 2000M

Szczyty: GOLDI SZANKAR + LANGTANG

SZISZIPANGNA, GANEŚ.

Takie szczyty obserwujemy idąc do Nagarkot. Po 3,5 godzinie marszu jesteśmy tam nareszcie. Droga dość ładna, jedynie ostatni odcinek pod Nagarkot idzie się w górę. Hotel nasz jak na złość jest położony w najwyższym punkcie Nagarkot, ale za to, jakie mamy widoki. Przed nami Dach Świata. Z tarasu rozciąga się wprost bajkowy krajobraz. Na niższych partiach gór pięknie schodkowo uprawiane poletka mieniają się różnymi kolorami zieleni. W tle ośnieżone szczyty najwyższych gór świata. Po rozlokowaniu się w pokojach w hotelu View Point. (Pokoje nareszcie ładne i czyste, z dużym słonecznym tarasem). Udajemy się do restauracji hotelowej na obiad. Z restauracji rozciąga się piękny widok na Himalaje. Najwyższe szczyty są pięknie oświetlone przez zachodzące słońce - od białości do czerwoności. Widok przepiękny. Zachód słońca oglądamy z tarasu sąsiedniego hotelu „The Fort Resort”, z wysok. 2000m. Wg mnie to najpiękniej położony hotel w Nagarkot, z tarasu którego jest wyjątkowy widok na koronę Himalajów. Kiedy dziś przed południem dochodziliśmy już do hotelu w Nagarkot zmęczeni i zakurzeni spotkaliśmy grupę Japonek. Panie te były w naszym wieku, wszystkie bardzo czystuśkie, upudrowane i umalowane ze starannym uprasowaniem strojów. Jedna była w białych rękawiczkach. Były wielce zdumione, że można na pieszo pokonać taką odległość. (Jak widać można.)

## **19.11 – środa**

Nagarkot – Katmandu

Poprzedniego wieczoru ok. godziny 17:15 oglądaliśmy przepiękny zachód słońca. Ośnieżone wierzchołki gór są tak pięknie podświetlone przez zachodzące słońce, że wydają się, iż płoną. Robimy zdjęcia, ale nie wiemy czy

wyjda. Nagarkot słynie z tego, że są tu najpiękniejsze wschody i zachody słońca. Nasz hotel „View Point” i „The Fort Resort „ reklamują się w folderach, że z ich tarasów położonych na dachu - a jest to 8 piętro - widoczna jest panorama 360 stopni. Z tarasów wszyscy goście hotelowi oglądają wschody i zachody słońca. O godzinie 6:20 obsługa hotelu stuka do drzwi, budzi gości na ten piękny spektakl natury. Szybko ubieram się ciepło (bo noce i poranki są chłodne - ok. 4 stopni C), czekam na Alę i Klaudiusza na tarasie. Udajemy się na najwyższy taras położony na dachu hotelu (8 piętro) i widok zapiera nam dech w piersi. Tego pięknego spektaklu nie zapomnę chyba nigdy. Czuję się jakbym była w pępku świata. To tutaj widać, że ziemia jest kulą. Stoimy w najwyższym punkcie Nagarkot, gdzie żadne drzewo nie zasłania nam widoku. Od wschodu przepiękny niesamowicie wyrazisty widok postrzępionych szczytów najwyższych gór przez słońce podświetlonych na pomarańczowo – czarny kolor. Słońce jest jeszcze ciągle schowane za szczytami. Wszystko to na tle fioletowo-granatowego nieba. Poniżej mgła i chmury tworzą pas odcinający najwyższe szczyty od niższych pasm gór. W samych dolinach rozciąga się mgła, jak ogromne jezioro/ z którego wystają czubki gór w kolorze szafiru. Jak spojrzeć dalej na zachód i północ, to dominują tam jeszcze ciemno szare barwy nocy. Kontrast olbrzymi. Cały spektakl trwa ok. 15 minut. Stopniowo widzimy jak najwyższe szczyty są coraz jaśniejsze i zgadujemy, zza którego szczytu wyłoni się słońce. I nagle, niesamowity blask i między dwoma wierzchołkami pojawia się kawałeczek świetlisto – czerwonej kuli, która nas oślepia. Jest godzina 6:34. Zgromadzeni turyści robią zdjęcia i wzdychają z zachwytu. O godzinie 6:40 między dwoma wierzchołkami gór mamy już całą świetlistą kulę. Trzeba przykrywać oczy i zasłaniać je palcami a wtedy widać jak przez nasze palce odbijają się promienie. Wracamy do pokoi szczęśliwi i zachwyceni śpimy jeszcze godzinę. Do godziny 11:30 gadamy, opalamy się na tarasie podziwiając stale piękno gór. Góry już teraz są spowite lekką mgiełką, która opuściła doliny. O 11:30 przyjeżdża po nas taksówka i podróż 32 km zabiera nam 1,5 godziny. Wracamy do naszego hotelu i udajemy się na obiad do koreańskiej restauracji, która jest obok.

Po raz pierwszy jem danie złożone z ryżowych ciasteczek z gotowaną rybą w sosie chilli + jarzyny. Ciasteczka ryżowe to typowe danie koreańskie. Nie są to jednak wcale ciasteczka, ale coś na kształt grubych paluszków z ryżu, pociętych na kawałki (bardzo ciekawe i smaczne danie - choć dość pikantne). Lokal jest czyściutki prowadzą go Koreańczycy a goście to również Koreańczycy. Potem zwiedzamy Durbar Square. Idziemy do ładnego pubu na piwo. Lokal jest pod gołym niebem z koronami drzew zamiast dachu.

## **20.11 – czwartek**

Rano o godzinie 8:40 jedziemy taksówką do Swajambunath. Droga okropnie wyboista. Niesamowite ilości kurzu. Samochód lawiruje między rykszami, ludźmi, zwierzętami i innymi pojazdami. (150 rupii) Momentami jest tyle spalin i kurzu, że trudno jest oddychać. Dużo Nepalczyków i turystów, zwłaszcza Japończyków, chodzi w maskach. Turystów nie jest jednak zbyt wielu. Na ulicach i na trasie spotyka się dużo uzbrojonego wojska. Sami Nepalczycy mówią, że sytuacja nie jest zbyt bezpieczna i pewna i stąd te patrole. Najpierw udajemy się do klasztoru, do którego list dał nam Marek Sawicki. W klasztorze nie ma jednak przeora - Tenga Rimpocze. Młody mnich częstuje nas herbatą z mlekiem i solą. Ala nie może ją przełknąć, my wszyscy tak. Zaczyna się rozmowa z Januszem, która jest bardzo ciekawa. Mnich później oprowadza nas po klasztorze i opowiada ciekawe buddyjskie historie. Pokazuje nam też główną świątynię. Jest ona pięknie udekorowana scenami z życia Buddy, na suficie piękne kolorowe mandale. W centralnym punkcie stoi olbrzymi posąg Buddy a wokół niego w małych wnękach, za szkłem, ok. 1000 posążków Buddy. Wszystko to robi na nas wrażenie. Piękna kolorystyka i piękne wykończenie. Mnich pokazuje nam dalej sale medytacji dla cudzoziemców, którzy tu przyjeżdżają ( obok klasztoru jest hotel) i nowy budynek, który jest już na ukończeniu W nim będą w przyszłości odbywać się większe uroczystości. Święta pudża trwają 7 dni. Zawsze odpust taki kończy się muzyką i tańcami. W tym roku 26 listopada będzie początek pudży. Przy klasztorze mieści się również mały szpital. Po wizycie w klasztorze wspinamy się po 360 schodach na szczyt Swajambunath. Na szczycie znajduje się

olbrzymia strupa. Wchodząc po schodach spotykamy wiele przekupek, które bez przerwy chcą nam coś sprzedawać. Chcąc coś kupić trzeba się z nimi ostro targować. Na górze obchodzimy stupę a wszędzie spotykamy młynki modlitewne. Wokół stupy bawią się brudne dzieci, wałęsają się lub śpią psy, kozy, a nawet małpy. Wśród tego pielgrzymi i turyści. Na mnie fatalne wrażenie robią modlący się, którzy okropnie brudzą i dosłownie „uświniają” posągi Kali. Wszystko to jest takie nieestetyczne. Potem jedziemy na obiad do restauracji, którą znaleźliśmy w bardzo ładnym ogrodzie.

## **21.11 – piątek**

Katmandu – Pokhara

O godzinie 8:30 przyjeżdża po nas taksówka (Toyota), jednak nie możemy się w nią spakować. Janusz dzwoni do Agencji, że mieli dać większy samochód. Za 10 minut przyjeżdża Mercedes, do którego się pakujemy bez problemów. Kierowca Toyoty nie denerwuje się tylko nas przeprosza. Wyruszamy. Katmandu trudno opuścić. Olbrzymi ruch i bardzo dużo kolorowych ciężarówek. Po drodze, co jakiś czas kontrola i zasieki. Droga cały czas prowadzi przez góry. Trudno tu jest wyprzedzić, ale kierowcy jeżdżą ostrożnie, choć wiele razy serce podchodziło nam do gardła. Technika jazdy to taka – żeby tylko nie mieć wypadku. Każdy jeździ jak chce, wyprzedzają na zakrętach. Przy wyprzedzaniu jednak nie krzyczą na siebie. Wiele razy było tak, że nasz kierowca mając pierwszeństwo musiał ostro hamować i prawie się stykał maską z kierowcą z przeciwka. Nawierzchnia fatalna. Co jakiś czas widać jak lawiny kamieni z gór uszkodziły drogę. Wtedy trzeba stanąć bo ruch jest jednokierunkowy. 218 km Katmandu – Pokhara zabiera nam 6 godzin z przerwą na lunch. Gdy dobijamy do hotelu „Green Tara” – wszyscy jesteśmy zmęczeni. Niesamowite ilości kurzu i spalin drapią w gardło. Pokhara leży na wysokości 800 m nad jeziorem Fewa i otoczona jest górami. Hotel „Green Tara” jest bardzo ładny, czysty i wygodny. Mamy nareszcie standard europejski a może nawet lepiej. Cena 15 \$ USA ze śniadaniem. Łazienka i urządzenia sanitarne nowe i czyste, pokoje również. Nareszcie jesteśmy zadowoleni. Wieczorem idziemy do restauracji Fewa Park nad jeziorem - na imieninową kolację. Objadamy się potwornie, bo jedzenia dużo

i jest znów bardzo, bardzo dobre. Toast za Janusza pijemy ponczem, jemy papadamy z jarzynkami, ser pieczony, aromatyczne ziemniaki wszystko to na przystawkę. Potem hot and spaicy soup z dużą ilością kurczaka. Ja jem rybę w curry, Ala chicken masala, Janusz to samo a Klaudiusz baraninę masala. Do tego podano nam czosnkowy nan. Na deser panowie jedzą smażone banany w sosie czekoladowym – pycha. Czas kolacji umiłał nam zespół 10 osobowy śpiewem i tańcem. Na koniec panowie nasi zostali zaproszeni do tańca przez tancerki i bawili się bardzo dobrze.

### **22.11 – sobota**

Pokhara – pływamy łodzią po jeziorze i na wyspę. Leniuchujemy, a wieczorem szukamy nowej restauracji. W efekcie decydujemy się iść w to samo, co poprzednio miejsce.

### **23.11 – niedziela**

O godzinie 8:30 jedziemy do biura załatwić przepustki na wyjście w góry. Na tydzień kosztuje to 2000 rupii od osoby (= 30 \$ USA) - drogo. Samochód wiezie nas do miejscowości Phedli – stąd zaczynamy nasz tracking. Idziemy w górę dość stromo przez 2,5 godziny. Ja mam okropny katar. Największe problemy mamy z poceniem się. Człowiek jest cały mokry a momentami jest nam zimno. Janusz dwa razy zmienia koszulę. Po 2,5 godziny mamy lunch (zupę + pierożki + kawa). Zostaje jeszcze 1,5 godziny i jesteśmy już na górze 1900 m. Photana. Warunki bardzo surowe, wilgotno i zimno. Pijemy wódeczkę, aby się rozgrzać, ale jest cholernie zimno - siedzę przy kolacji w rękawiczkach. Myjemy się tylko myjkami. Jutro o 8:15 wyruszamy do Landrug – 1550 m.

### **24.11 – poniedziałek**

Photana – Landrug 1550m.

Noc minęła dość dobrze, już o 21:00 spaliśmy wszyscy. Miałam dobrą noc bez bólu a i katar trochę lżejszy. Rano dostaliśmy śniadanie: płatki na mleku,

tybetański chleb i dużo mleka ( Janusz i Klaudiusz pili po 2 szklanki). Za wczorajszą kolację i dzisiejsze śniadanie + nocleg = 1250 rupii dla 4 osób. Dzisiejsza wędrówka bardzo przyjemna, głównie schodzimy i co jakiś czas wylania się Annapurna południowa. To pięknie i majestatycznie ośnieżony szczyt mierzący 7200 m. Zatrzymujemy się w Tolka na lunch, jemy zupełną czosnkową + momo. Wszędzie tu na trasie podaje się bardzo dobrą herbatę po 20 rupii. Towarzyszy nam słońce, choć co jakiś czas pojawiają się chmury. Tak jak w Pokharze i tu w górach piękne słońce i odkryte niebo widać do godziny 12:00, później pojawiają się chmury i lekka mgła. Ok. godziny 14:30 jesteśmy już na miejscu, rozlokowujemy się w schronisku Peacefull. Schronisko to jest największym domem w tej miejscowości. Piękny widok na Annapurna płd. i Machpurche. Przed schroniskiem jest ładna trawka, dużo kwiatów w donicach i porozstawiane meble ogrodowe. Ala z Klaudiuszem pija w ogródku kawę, my z Januszem odpoczywamy w pokoju. Nagle przybiega Ala, mówi że jakiś facet ma w ręku bloczek i chce od nich 2000 rupii. Nie wiedzą, za co? Okazuje się, że to maoista. Mówi, że w tym rejonie nie ma ochrony rządu ani policji, tak więc maoiści się tym zajmują i musimy im zapłacić po 1000 od głowy. Grozy sytuacji dodaje fakt, że jest z nim dziewczyna, która jest uzbrojona w długi karabin i towarzyszy mu jeszcze jakiś rewolucjonista. Janusz jest wściekły, Klaudiusz nazywa go szefem mafii i wywiązuje się bardzo nieprzyjemna sytuacja. Janusz złości się teraz na Klaudiusza, który nie może się powstrzymać i stale mówi, że on to mafia. W końcu jakoś sytuację uspakajamy i terrorysta redukuje opłatę do 500 rupii od osoby. Oczywiście musimy zapłacić. W hotelu spotykamy młodych ludzi - ona z Czech, on ze Słowacji, którym udaje się nie płacić, bo oni są studentami i nie idą tak jak my do Ghandrung, tylko wracają do Pokhary. Miło się z nimi gaworzyło. Ala przynosi wódeczkę, opowiadają nam o swej podróży. Przyjechali autobusem z Czech przez Bułgarię, Turcję, Iran, Pakistan do Indii i na koniec do Nepalu. Nie zamawiamy dziś kolacji, bo jesteśmy źli i nie chcemy dawać zarabiać tutejszym ludziom. Ale ludzie we wsiach są też szantażowani przez maoistów i boją się ich – tak tłumaczy nam Radzi – nasz przewodnik. Janusz boi się czy ten maoista nie będzie się na nas mścił za to, co od nas usłyszał i czy to rozsądnie jest iść dalej w góry, gdzie rządzą maoiści.

Radzi uspakaja, że im chodzi tylko o pieniądze. Zapłaciliśmy i dostaliśmy pokwitowanie. Jeśli ktoś nas zatrzyma to mamy je pokazać i nas puszczać. W ten sposób nie chcąc tego zasponsorowaliśmy maoistów, z czego na pewno zakupią broń - choć tłumaczyli nam, że to dla biednych ludzi.

## **25.11 – wtorek**

LANDRUG – GHANDRUNG 1939m.

Od wczoraj boję się tego podejścia do Ghandruk. Z okna naszego hotelu widać, jaką stromizną trzeba pokonać aby tam dojść. Wyruszamy już o 8:10. Najpierw musimy zejść do rzeki, później przejść most na drugą stronę. Schodzimy cały czas po schodach kamiennych. Kilkaset metrów zabiera nam 0,5 godziny. Nogi bardzo się męczą. Na koniec podejście w górę po kamiennych schodach. Po 4 godzinach z przerwami na herbatę i odpoczynkach jesteśmy już u bramy wejściowej do Ghandrung. Tu wita nas napis, że bez zezwolenia maoistów (czyli tych przepustek, za które zapłaciliśmy) nie można tutaj się dostać. Na murze wypisane są 3 żądania, jakie mają Maoiści wobec rządu i króla:

- 1) rozmów przy okrągłym stole
- 2) wielopartyjnego systemu
- 3) nowej konstytucji

Od bramy Ghandruk do hotelu Dunpure musimy pokonać jeszcze wiele, wiele stopni. Jesteśmy już zmęczeni, mnie bolą mięśnie. Hotel jest nowy i nareszcie robimy sobie gorący prysznic. Zjadamy dobry obiad. Znów jemy kurczaka z ryżem, pijemy piwo. Jest to pierwszy hotel na trasie naszej wędrówki z Pokhary, gdzie jest tak dużo turystów. Wieczorem cała sala restauracyjna jest pełna. Do tej pory byliśmy jedynymi gośćmi w innych hotelach. (oprócz Nagarkot). Niestety nie daje się czytać, światło jest bardzo marne.

## **26.11 – środa**

GHANDRUK – TADAPANI 2680

Wyruszamy o 8:00 i po 4 godzinach jesteśmy u celu. Dzisiejsza droga jest zupełnie inna jak wczoraj. Cały czas idziemy do góry przez niesamowity las.

Nie ma tu drzew iglastych tylko wielkie drzewa rododendronowe i paprocie. Las ten wygląda jak przed wiekami, wedle naszych wyobrażeń z bajek. Tu na górze jest bardzo zimno, przebieramy się w cieplejsze kurtki. Było to w Himalaja Guest Hause – właścicielka bardzo pogodna. Objasnia nam, że kucharz - jej brat gotował w Pokharze i teraz wszystko sam gotuje dla gości. Gospodyni na 40 lat, 4 dzieci w szkołach w Pokharze i Katmandu, ale niestety jest sama gdyż mąż opuścił ją dla innej. Po obiedzie idziemy dalej, aby skrócić jutrzejsze długie podejście. Dzisiejsza droga jest zupełnie inna od wczorajszej, gdzie podziwialiśmy piękne widoki schodkowych pól na takiej samej wysokości. Dziś idziemy przez gęsty las, jest okropna mgła i mijamy stale rwące górskie wodospady. Po 1,5 godzinie przychodzimy do Banthanti zatrzymujemy się w Sun Rice Lodge. Znajomi Radża prowadzą ten hotelik od dawna. Są to mili, weseli i ładni ludzie. Ich dzieci są w szkole z internatem w Pokharze. Żyją tu w bardzo trudnych warunkach. Hotelik jest ładnie usytuowany pod bardzo stromą górą a przed nami cały czas huczy wodospad. W jadalni jest bardzo czysto. Długi stół – ława bez obrusów. Jedzenie jest tu przyjemniejsze niż na brudnej szmato-obrusie. Dużo różnych ozdóbek na ścianach, kwiaty, firanki, co robi bardzo przytulne wrażenie. Stół otacza dokoła koc, a pod stołem stoi fantastyczny podgrzewacz, który wspaniale suszy nasze mokre ręce i ogrzewa nasze nogi. Jest bardzo przytulnie, zamawiamy dużo piwa, rumu, herbaty, jakieś jedzenie. Gadamy kilka godzin i jest świetny romantyczny nastrój. Na stole pali się gazowa lampa, bo w hoteliku nie ma światła. Na koniec przychodzi do nas właściciel już w dobrym humorze i częstuje nas swoim wyrobem raxi – słabym bimberkiem. Dużo gadamy i jest świetnie. Grupa naszych tragarzy i przewodnik oraz turystka z Kanady siedzą w kuchni i grzeją się przy ogniu. Nikogo oprócz nas tu nie ma. Z kuchni cały czas dochodzą chichoty i śmiech. Kiedy kładziemy się spać jest tak ciemno, że nie nic widać. Jest też cholernie zimno, najzimniej jak dotąd. Rano płacimy 1000 rupii za wczorajsza kolację, nocleg i śniadanie. Ruszamy dalej i po 1,5 godzinie pijemy herbatę na Gurung Hill i znów widzimy napis „Welcome for foreigner guest” Fack you CPN ( Maoist)

## 27.11 – czwartek

BANTHANTI – GHOREPANI 2850

POON HILL 3193

Dzisiejsza trasa zabierze nam 5 godzin. Pierwszy postój mamy po 1,5 godziny marszu. Jesteśmy już na Deorali (przełęcz) 3150 m. Wspinamy się dość wolno, tu na samej górze jest kilka schronisk i stragany z różnymi pamiątkami. Kupuję dla dzwonki. Ruszamy dalej i po 10 minutach naszym oczom ukazuje się wspaniały widok. Idziemy w pełnym słońcu bez chmur i nagle wylania się całe pasmo Dhaulagiri pokryte pięknym śniegiem. Najwyższy szczyt z lewej to Dhaulagiri 8167 m, dalej w prawo Nilgiri 7061, Annapurna I 8091 i najbliżej nas, największa Annapurna Południowa 7219 m. Dalej w prawo widać Hiunchuli 6471 i góra która towarzyszy nam od Pokhary (tylko widziana z innej strony) święta góra Fishtail czyli Machhapupche - 6997m. Siedzimy na kamieniach w najwyższym punkcie przełęczy i przez około 0,5 godziny zachwycamy się panoramą jaka nas otacza. Właśnie tu jesteśmy najbliżej Południwej Annapurny - jak na wyciągnięcie ręki. Jeszcze 40 minut i schodzimy do wioski Ghorepani, która z góry oglądana wygląda jak niektóre greckie wioski. Tak jest w rzeczywistości. Domy są pomalowane identycznie na jasno niebieski kolor, a dachy na szafirowo jak w Grecji na Sontarini czy Rodos. Niektóre dachy są kryte słomą, co ma przypominać wieś. Na początku osady jest nasz Sun Rest Hotel. Składa się on z dużego budynku i 4 uroczych małych domków, krytych słomę, w których spaliśmy. W damkach tych są 2 pokoje z łazienkami i ubikacją. Czyli 2+2, ale każda para ma swoje własne wejście, a wspólny jest tylko mały tarasik. Wszystko to wygląda schludnie i estetycznie. Bardzo czysto i bardzo czysta jest też biała pościel, co tu rzadko się to zdarza. Cała wieś zresztą wygląda na zamożną. Restauracja mieści się na I piętrze hotelu i również to chyba jest pierwsza restauracja w górach, gdzie jest tak ładnie i schludnie. Stąd roztacza się najpiękniejszy widok po Nogarkot.

Dostajemy wspaniały gorący obiad: zupa pomidorowa, pieczone ziemniaki i chicken masala z ryżem. Wszystko bardzo, bardzo dobre a do tego piwo Tuborg, na deser herbata imbirowa.

## 28.11 - piątek

### GHOREPANI – THITKITUNGA

Ala i Klaudiusz idą na Poon Hill oglądać wschód słońca. Janusz śpi, ja natomiast wstaję o 6:20 i biegnę na taras i oglądam wschód słońca. Nie jest tutaj tak piękny jak w Nagarkot, choć góry wydają się być już tuż - tuż. Jest cholernie zimno, jakieś - 4 stopni C. Wszystko jest pokryte białym szronem. Po pół godzinie wracam, przebieram się i idę grzać się przy piecu w naszej restauracji. Widok jest cudowny, jaskrawe słońce przepięknie oświetla pasmo Dalaugiri i Annapurnę. Siedzimy w restauracji zwróceniem twarzą do okna i jak w teatrze wpatrujemy się w piękną scenerię przyrody. Nagle obserwujemy przedziwne zjawisko: z dachu restauracji zaczyna padać ulewny deszcz. To ostre promienie słońca teraz padające prostopadle na dach restauracji są tak gorące, że topią lód, jaki powstał na dachu w nocy. W ciągu paru minut cały lód został stopiony, spadł na ziemię w postaci deszczu i na ziemi znów przemienił się w lód. Po dobrym śniadaniu i ostatnich zajęciach pakujemy nasze małe plecaki. Tragarze już czekają na nas w charakterystycznej pozycji - kucając. Czekamy jak zwykle parę minut na naszego wesołego przewodnika Radża, który stale ma jakieś problemy żołądkowe pojawiające się zawsze tuż przed wyjściem. Kiedy schodzimy do dolnej Ghorepani, nie widać już Daulaghri. Robi nam się jakoś smutno, bo nie wiadomo czy jeszcze kiedyś zobaczymy te góry i będzie nam brakowało widoku tych majestatycznych szczytów. Nie będą nam już one towarzyszyć i zachwycać naszych oczu. Żegnamy, więc najwyższe szczyty Himalajów i teraz przed nami 2 dni schodzenia na dół. Dziś robimy ok. 1400 m. cały czas idziemy wśród rododendronowych lasów. Bardzo rzadko są wsie na tej wysokości. Po 2 godzinach zatrzymujemy się na zupę i herbatę. Po 6 godzinach schodzenia Janusz i Ala. są już bardzo zmęczeni. Janusz idzie bardzo wolno. Droga w dół to schody, schody, schody i kamienie. Nogi są już bardzo zmęczone i obolałe i trzeba bardzo uważać, aby się nie potknąć i przewrócić. Janusz mówi, że boi się, aby kolana mu nie odwróciły się w drugą stronę. Ja czuję się dziś wyjątkowo dobrze, ale pod koniec schodzenia znów cholernie dokucza mi ząb. Im jesteśmy niżej tym coraz więcej wsi i dzieci proszących „ Have you a pen,

have you sweets, namaste” – pozdrawiają i potem znów proszą o coś. W końcu rozdajemy już ostatnie cukierki i długopisy. Żałuję, że nie mamy więcej do rozdania. Dziś prawie całą drogę towarzyszy nam bardzo rwąca rzeka i piękne wodospady. Przekraczamy ją trzy razy po wiszących mostach. W końcu docieramy do naszego schroniska. Jest ono znów dość prymitywne. Po dwie prycze w pokojach, które oddzielone są deskami. Między deskami szpary, tak że wszystko słyhać i prawie widać, co robi sąsiad obok. Po zjedzeniu kolacji, która nie była najlepsza, Janusz wymógł na Radżu aby gospodyni dobrze doprawiła nasze porcje, więc nasze jedzenie było lepsze niż Ali i Klaudiusza. Nasz przewodnik zawsze stara się abyśmy byli dobrze obsłużeni - ma „chody” w każdej kuchni. Kiedy się kładziemy, ok. 21, przez wiele godzin słyhać jego śmiech i żarty z innymi turystkami. Na szczęście tu niżej nie jest już tak zimno jak w Ghorepani, więc nie ma potrzeby spać w czapce i rękawicach a do snu układa nasz szum przepływającej obok rzeki.

## **29.11 - sobota**

Thikedunga – Birethanti

Ostatni dzień naszego schodzenia, które miało trwać ok. 3 godziny, a zajęło nam 5. Bola łydki bo wciąż schodzimy po kamieniach lub schodach. Droga jest bardzo piękna i inna jak wczoraj. Teraz schodzimy głównie z boku góry, a przed nami rozciągają się piękne widoki na uprawne schodkowo zbocza gór i osady, przeważnie domy są pomalowane na niebiesko lub różowo. Malinowe bugenwilla i czerwone hibiskusy i jakieś piękne żółte pnącza widoczne są wszędzie. Pomimo, że to zima, tu mamy kolory wiosny. Jak pięknie ... im jesteśmy niżej tym rzeka jest tu szersza i coraz większe głazy przegradzają jej drogę. Kolor wody jest niespotykany – turkusowy - jak morze w Grecji. Dochodzimy do Birethanti, gdzie kwitnie handel i tu już niestety kończy się to, co ładne. Teraz idziemy wśród jakiś straganów, osły na grzbietach przenoszą towary, które przewożone są w górę. Po ok. 15 minutach jesteśmy już na asfaltowej drodze, gdzie czeka nasz minibus aby nas zawieść do naszego ślicznego i czystutkiego hotelu Green Tara. Nareszcie po 7 dniach kapiemy się, myjemy głowy i jest

cudownie. Wieczorem jemy kolacje w Moondance Pub. Lokal ten ma świetną atmosferę, którą tworzy tam właściciel. Jest to przystojny Nepalczyk w wieku 35-40 lat, z dużą kitą włosów. Żona jego Kanadyjka ma łotewskie pochodzenia. Gdy tylko weszliśmy zaraz do nas podszedł w bardzo kulturalny sposób prowadził rozmowę. Jest to bardzo miły i grzeczny człowiek, jego zachowanie jest jak najbardziej naturalne. Ubrany w białą rozpiętą koszulę i ciemne spodnie, prezentuje się świetnie. Restauracja ma ładny ogródek, a po środku duży piec przypominający okap, z ogromną rurą do sufitu. Pali się tu szczapami drewna, co ociepla atmosferę w dosłownym tego słowa znaczeniu. Uwagę naszą zwraca to, że zaczyna się schodzić coraz więcej fajnych Europejczyków, wysokich i przystojnych facetów z żonami i dziećmi. Widać, że ludzie ci się dobrze czują, a dzieci bawią się ze sobą. Okazuje się, że to pracownicy różnych misji w Pokharze - nauczyciele języka angielskiego, lekarze, inżynierowie – Holendrzy, Amerykanie, Anglicy, Niemcy. Dziś właśnie dadzą wspólny koncert muzyki jazzowej. My niestety kończymy pyszną kolację i wychodzimy, gdyż jesteśmy zmęczeni naszymi schodzeniem, idziemy do hotelu spać.

### **30.11 – niedziela**

Pokhara

Wpadamy w szal zakupów. Wszystko jest bardzo tanie, a sprzedawcy bez przerwy proszą, żeby chociaż zobaczyć ich sklep - nie musimy kupować. Wszyscy narzekają, że nie ma handlu, jest mało turystów i każdy turysta – klient jest tu bardzo, ale to bardzo serdecznie, zapraszany. Przykro jest im odmawiać, w każdym sklepie chciałoby się coś kupić, aby ich uszczęśliwić. Pytają jak udał się trekking i przypominają mi i Ali że obiecałyśmy coś kupić po powrocie z gór. Kupujemy więc szale, podarunki dzwoneczki (Ala i Klaudiusz), serwetki, narzutę na łóżko. Kiedy następnie proszą: „zajrzyj choć do mnie i nie rań nam serca” lub: „kupiłaś u niego i u niego to wstąp do mnie i kup choć coś malutkiego”. Wszystkie te „zaczepki” są jednak bardzo miłe, wszystko odbywa się na wesoło. Kiedy codziennie rano lub po południu po raz kolejny przechodzimy koło sklepików, sprzedawcy stoją

zaczepiając przed sklepem witają nas uśmiechem, zapraszają do środka, życzą miłego dnia. Wszyscy czujemy się jak dobrzy znajomi. Opowiadamy im o trekkingu, o spotkaniach z maoistami. Nasi nowi znajomi - sprzedawcy żałują, że już jutro ostatni dzień naszego pobytu w Pokharze, - my zresztą też żałujemy. Pokhara to przeurocze miasteczko nad jeziorem, otoczone górami. Przeważnie spowija je mgła. Jedynie rano i gdzieś do godziny 13:00 widać Machapuchre i Annapurnę pld. Jest tu ogromna ilość restauracyjek, pubów, kafejek i sklepików. Wszystko to po to, aby uprzyjemnić pobyt turystom. Jest to miejsce magiczne, można się w nim zakochać. Młodzież upodobała sobie Pub Amsterdam z głośną bitową muzyką. My natomiast Feva Rest Park z pięknym ogrodem nad jeziorem, gdzie lubimy siedzieć czytać gazety i pić herbatę lub wieczorem jeść kolację. W Pokharze jest dużo młodzieży i takiej „młodzieży” w naszym wieku, byłych hipisów i luzaków z Europy, Australii, Kanady. Przechodząc pozdrawiamy się po nepalsku „ namaste” lub „hallo”

## **1.12 – poniedziałek**

### Pokhara

Dziś po śniadaniu wybraliśmy się na piękny spacer do Fish Tail Lodge. Jest to urocze miejsce – wyspa na jeziorze z kompleksem hotelowo-restauracyjno-parkowym. Dostać się tam można jedynie promem. Zabiera to parę zaledwie minut. Przewoźnik zabiera 10-12 osób, ciągnie linę, która jest umocowana na drugim brzegu i w ten sposób dowozi klientów. My popłynęliśmy na herbatę i kawę. Miejsce przepiękne, posiedzieliśmy w ogrodzie ok. 1 godziny zjedliśmy dobre ciastko i wypiliśmy kawę, a kosztowało wszystko po 8 zł od osoby. Wracając do naszego hotelu znów nie obyło się bez zakupów. Stale jeszcze odkrywamy jakieś „ szalone okazje”. Wieczorem idziemy na pożegnalną kolację do Moondance Pub i tu niespodzianka, mamy znów ten sam koncert co wczoraj. Wczoraj w „Namaste Cafe” spotkaliśmy właściciela , który ucieszył się jak nas zobaczył i przywitał się z nami. Przyszedł chyba posłuchać grupy, którą dziś zaprosił do swego lokalu. W Nomaste Cafe Janusz zawarł znajomość z fajnym Hindusem, architektem, który ma żonę Kanadyjkę i mieszka w Kanadzie. Zrobił sobie

urlop na ½ roku i jeździ po świecie. Bardzo wesoły człowiek ok. 50 letni o wyglądzie „Wilka Morskiego”. Dziś spotykamy go znów w Moondance Pub i znów serdeczne powitanie i miłe rozmowy. Co ciekawe, wpadamy na siebie też na Temelu, w przeddzień naszego wyjazdu. Kolację jemy w „Namaste Cafe” ponieważ jest tu koncert klasycznej muzyki nepalskiej i indyjskiej – tabla, santoor i bausuri. Właściciel lokalu ok. 40 letni Nepalczyk ma dredy do pośladków - wygląda to odłotowo. Podczas koncertu dołącza się do muzyków i towarzyszy im grając na talerzach i perkusji. W pierwszej części muzyka jest i nepalska i hinduska – klasyczna. Po przerwie grają dość ostro połączenie jazu, blusa w nepalskich rytmach. Ja i Ala jadłyśmy sizlera (220 rupii) z kurczaka. Jest to dość ciekawe danie, bardzo oryginalne serwowane na specjalnej desce. Danie to podaje się prosto z pieca więc jeszcze długi czas na stole jarzyny i kurczak pieką się i wszystko to „skrzypi”. Kiedy wracamy do hotelu naszą stałą drogą obok sklepików, a jest godzina 22 00 większość jest już pozamykana ale jeszcze stale jesteśmy zachęcani do kupienia czegoś i kupuję bluzkę.

## **2.12. – wtorek**

Pokhara – Katmandu

Ranek zachmurzony, pierwszy taki dzień w Nepalu bez słońca. Szkoda, bo nie widać naszych „Fishteila i Annapurny i nie możemy ostatni raz popatrzeć i pożegnać się. O godzinie 9:00 ruszamy naszą taksówką, małym 8 osobowym busikiem do Katmandu. Jedzie się o wiele wygodniej jak taksówką. Przybyło nam zakupów. Droga jest jednak koszmarem, niezliczona ilość dziur, kurz, pył, spaliny i co parę kilometrów zasieki, posterunki policji. Nas cudzoziemców nie sprawdzali, ale na punktach tych tworzą się korki, gdyż miejscowi pasażerowie autokarów, i ciężarówek muszą iść na punkt kontroli gdzie są dokładnie sprawdzani. Droga do Katmandu idzie cały czas wśród gór, w dole przepaście, droga jest wąska, z bardzo dużą ilością ostrych zakrętów. Bardzo często droga uszkodzona jest przez duże kamienie, głazy, które spadają ze zboczy. Niestety bardzo rzadko widać, aby ktoś to naprawiał. Po 2,5 godzinach jazdy zatrzymujemy się na kawę herbatę

w uroczym miejscu „Riverside Spring Resort”, czujemy się jakbyśmy przybyli do innego świata. Zieleń, spokój, obiekty wypoczynkowe pięknie wkomponowane w przyrodę. Siadamy w ogrodzie, w dole mamy pięknych kształtów turkusowy basen, a jeszcze niżej turkusową rzekę. Robimy zdjęcia, pijemy kawę, cieszymy oczy i oddech świeżością powietrza i po 40 minutach przerwy ruszamy dalej. Droga do Katmandu zabiera nam 7 godzin. Stale mijamy posterunki, okropnie brzydkie brudne osady. Chaotyczna architektura bez ładu i składu. Przed Katmandu stoimy 45 minut w korku, który jest spowodowany przez punkt kontrolny, przed wjazdem do miasta. Przed nami olbrzymia ilość wielkich ciężarówek wymalowanych na kolorowo i przyozdobionych różnymi przedmiotami. Każdy kierowca takiej ciężkiej ciężarówki ma pomocnika, który idzie obok, gdy pojazd jest w korku. Pomocnik taki, gdy ciężarówka staje, podkłada pod tylne koło kamienie, aby pojazd nie stoczył się do dołu. Wszystko to dzieje się wysoko w górach. Kierowca nasz wyczekuje momentu, gdy zdoła wyprzedzić parę samochodów i wcisnąć się pomiędzy którąś z ciężarówek, i tak trochę szybciej przeciskamy się do przodu. Piecze nas gardło od kurzu i spalin. Na szczęście handlarze wiedzą, gdzie tworzą się korki i w tych miejscach sprzedają wodę i inne mikstury. Wypijamy 2 litry wody i pocimy się dalej. Jesteśmy już na przedmieściach Katmandu i samochód staje, pęka pasek klinowy. Na szczęście kierowca ma zapasowy i dość szybko naprawia usterkę, my w tym czasie przechadzamy się.

### **3.12 – środa**

#### Katmandu

Znów biegamy po mieście robiąc końcowe zakupy i zwiedzając pozostałe zabytki. Ala z Klaudiuszem kupują piękną złoconą rzeźbę, a Janusz szuka we wszystkich księgarniach książek o buddyjskich dzatakach. Księgarnie w centrum są bardzo duże. Jedna z nich – Pilgrimage miała ponad trzydzieści sal pełnych wspaniałych zbiorów o sztuce i kulturze Wschodu. Kolacje jadamy w różnym ogrodzie, w pobliżu pałacu królewskiego. Pewnie dlatego jadamy po królewsku. Jest mało miejsc na świecie z tak wyborną

kuchnią azjatycką w tak umiarkowanych cenach. Zwiedzamy jeszcze Bharatpur. To miasto ma najładniejszą starówkę i jest najczystsze ze wszystkich starych stolic doliny Katmandu. Oczywiście znów przesiadujemy na tarasie starego domu stojącego na centralnym placu. Teraz już tylko zwiedzamy błędzącym po placach wzrokiem a z tak wysokiego miejsca jest to bardzo ciekawe doznanie. Po drodze zwiedzamy plac z buddyjską stupą Bodnath,. Miejsce to zachwyca. Czyste, uporządkowane przypomina nieco plac dawnej areny w Lucce. Wokół mrowie turystów i miejscowych mnichów. Po obejściu stupy wokoło raz jeszcze oddajemy się szalowi zakupów. Klaudiusz podochocony kupuje jakieś precjoza Ali. Ta się wzbrania, ale biżuteria jest ładna więc opór jej mięknie.

#### **4.12 Czwartek**

Katmandu

Tego dnia jedziemy do buddyjskiego klasztoru, który zwiedzaliśmy uprzednio. Zostaliśmy tu zaproszeni na ostatni, kulminacyjny dzień pudży. Dziedziniec przykryty żółtym dachem. Wokół zebrało się wielu Tybetańczyków z Katmandu i okolic. Wszyscy w narodowych strojach i dzieci i starzy. Obchody kończące święto to uroczysta procesja i trombitami i bębnami. Wszyscy są w bajecznie kolorowych strojach. Mnisi mają ponadto założone maski. Najpierw kroczą dostojnie, ale później zaczynają tańczyć wirując i podskakując. Robimy wiele zdjęć i oczarowani wracamy w kurzu do hotelu. Na pożegnanie Radży zaprasza nas do siebie do domu. Kluczymy razem z nim krętymi, ciemnymi uliczkami. Mieszka on w bloku na parterze. Mieszkanie bardzo, bardzo skromne. To tylko jeden pokój z sanitariatami na korytarzu. Wyjaśnia on, że z trudem jest zdolny zapłacić za czynsz, mimo że jest tutaj wytrawnym specjalistą – przewodnikiem. Jemy podany poczęstunek, zapoznajemy się też z sąsiadami, którzy przyszli nas zobaczyć. Wracamy do hotelu. Jeszcze tylko jedna bardzo dobra kolacja w Katmandu Guest House. Hotel ten to jedno z bardziej urokliwych miejsc w Katmandu. Został wybrany z ponad 15 tysięcy hoteli w Azji i zaliczony do grupy 150 hoteli z „azjatycką duszą”. Składa się na to oczywiście architektura, bardzo

ciekawy, charakterystyczny wystrój nepalski, lampy, meble, obraz itd. Do tego jeszcze dwa ogrody, od frontu i z tyłu, z piękną roślinnością, gdzie pośród krzewów stoją stoliki. Można tu zjeść bardzo dobrą kolację, słuchając muzyki na żywo. Gdy wieczór jest chłodny, obsługa zapala gazowe podgrzewacze i można siedzieć do późna w nocy. Tu właśnie 4 grudnia przyszedliśmy na pożegnalną kolację, na kilka godzin przed odlotem do domu.

Do Polski przywożę dużo pięknych wrażeń. Obraz brzydoty niektórych miejsc już się zaciera. Na pewno pamiętać będę zawsze tych sympatycznych, spokojnych i życzliwych ludzi, których spotyka się tu na każdym kroku. Mimo, że żyją oni często w trudnych warunkach i biedzie zachowują pogodę ducha. Nigdy zapewne nie zatrze się w mej pamięci obraz naszego wędrowania przez góry do Nagarkotu i pod Annapurną. Tego się nie da opowiedzieć – to trzeba dokonać i samemu sprawdzić, jakie „cuda” czekają tam na nas.